

DIAMENTOWE GODY

MATEUSZ JASKÓLSKI

„Każda rodzina odkrywa i znajduje w sobie samej nie dające się stłumić wezwanie, które jednocześnie określa jej godność i odpowiedzialność”

Jan Paweł II

Nie spisałbym tych wspomnień, które są sumą zasobów pamięci poszczególnych członków naszej Rodziny, gdybym nie przeżył wyjątkowego dnia, jakim było 60 – lecie pożycia małżeńskiego moich Dziadków, Zofii i Klemensa Żurawskich. 28 sierpnia 2010 r. do Dziwiszowa zjechało się ponad pół setki osób, by w miejscowym kościele uczestniczyć w jubileuszowej Mszy św. sprawowanej w Ich intencji. Małżonkowie pobrali się przed 60 laty w kościele w Starej Kamienicy. a ich wesele wyprawiono w obszernym domu pod numerem 77 na szczycie wzniesienia, na które wspina się wieś Mała Kamienica.

Moja Babcia pochodziła z rodziny Zapruckich, Prababcia moja Filomena, z domu Legun urodziła się jeszcze pod carskim zaborem w 1888 roku w małym kresowym miasteczku Nowa Mysz w powiecie Nowogródek. Wielki Słownik Geograficzny z końca dziewiętnastego stulecia odnotowuje Nową Mysz, choć nie ma w nim jeszcze odległych o 3 km Baranowicz, gdyż to miasto rozwinęło się później, kiedy poprowadzono linię kolejową, co zdecydowało o jego powstaniu i rozwoju. Wiele osób zwraca uwagę na osobliwą nazwę osady, z której pochodzili moi przodkowie. W tej okolicy stał zamek Radziwiłłów. Podanie mówi, że książę postanowił dać nazwę posiadłości od zwierzęcia, które pierwsze wyskoczy spod pług, zakreślającego jej granice. Spod skiby śmignęła mysz. Tak nazwano tutejszą siedzibę Radziwiłłów. Kiedy Szwedzi zburzyli zamek, powstała druga osada, którą nazwano Nowa Mysz. Tu zbudowano kościół, w którym znalazło się całe wyposażenie kaplicy, ocalone z zamku. Po upływie stuleci wierni raz jeszcze ratowali ołtarz, ławki, ambonę, balaski, rzeźby i obrazy, a działo się to w powojennych latach, kiedy radziecka władza przeznaczyła kościół na magazyn. Siostra mojej Prababci Filomeny, franciszkańska tercjarka Helena Lugun, za caratu uczyła polskiego miejscowe dzieci, a w czasach radzieckiej władzy katechizowała okoliczne młode pokolenie, przygotowując je do I Komunii Św., do Bierzmowania, a narzeczonych do ślubu. Owe sakramenty

były udzielane w Baranowiczach. Wreszcie Ciocia Helena zestarzała się, wymagała opieki, a białoruskie komunistyczne władze nie widziały powodu, żeby pozwolić na jej wyjazd do Polski, gdzie rodzina deklarowała opiekę. Wtedy liczne interwencje spowodowały, że Ciocia szczęśliwie znalazła się w Polsce i zamieszkała w Dziwiszowie u moich Dziadków.

Wracam do dziejów Rodu. Rodzina mojej Prababci została w 1940 roku zesłana na Sybir, uniknął tego losu jedynie Pradziadek Adam przebywający w szpitalu, zamężna najstarsza córka Helena i nieobecny w tym czasie w domu najstarszy brat mojej Babci Henryk, który wstąpił do Armii Krajowej. Z Prababcią w lodowatej tundrze znaleźli się: moja babcia Zofia (r. 1931), jej niewiele starsi bracia Wacio, Wawrzus i Kazik oraz najmłodsze siostrzyczka Lucia.(r.1935). Do annałów rodu przeszła historia o tym, jak jedenastoletnia moja Babcia jechała saniami przez tundrę, tuląc o cztery lata młodszą siostrę. Dziewczynka wymusiła u „predsiedatiela” kołchozu konia i sanie, żeby odszukać w Aczyńsku Babcię, która ciężko zachorowała na tyfus. Niebo czuwało nad dziećmi. Dziewczynki, modląc się nieustannie, dotarły do miasta, trafiły na dobrą kobietę, która ogrzała je i nakarmiła, po czym doprowadziła je do szpitala. Upewniwszy się, że Prababcia żyje, Zosia ruszyła w powrotną drogę. I kiedy niedawno, kilka tygodni przed jubileuszem słuchała litanii zarzutów gościa o kościelnych latyfundiach i wysokich wynagrodzeniach kapelanów, powiedziała ze spokojem, że trzeba spędzić kilka lat na zesłaniu, czuć duchową pustkę wokół, tęsknić za obecnością kapłana, który jest szafarzem Sakramentów i czeka z Panem Bogiem w świątyni, by teraz Bogu dziękować za kościół, księdza, za wspólnotę ludzi wiary, a ocenę postawy kapłanów, nawet jeśli budzi niepokój, zostawić Boskiemu sądowi, w myśl słów Chrystusa: ktokolwiek z was jest bez grzechu, niech pierwszy rzuci kamieniem...

Wacław z Wawrzyńcem, kiedy nad Oką powstawała I Armia WP, przedarli się z Syberii na miejsce zgrupowania. Wawrzyniec poległ pod Lenino w 1943 roku, Henryk –na Nowogródczyźnie w 1944, kiedy odstępowali Niemcy, a nadchodzili Rosjanie, a Wacław (trzykrotnie przepływał Wisłę, nie mogąc w czasie Powstania Warszawskiego znieść bezruchu I Armii i wojsk sowieckich) w 1946 roku został zastrzelony w żołnierskim mundurze ze

skrytobójczej kuli, w Bobrowicach koło Krosna Odrzańskiego. Prababcia Filomena Zaprucka, Sybiraczka z Krasnojarskiego Kraju Aczynskiego Rejonu, żona Sybiraka Adama (zesłany za przechowywanie akowskiej broni w 1945 roku do Tomsku wrócił po upływie 5 lat) otrzymała rentę specjalną ministra do spraw kombatantów za to, że tak wychowała synów, iż duch gorącego patriotyzmu kazał im być na pierwszej linii frontu i ginąć za Ojczyznę.

Nie mam słów podziwu dla Prababci Filomeny, która, zesłana z piątką dzieci, wszystkim ocalała życie, nie dojadając, nie dosypiając i znosząc wszelkie trudy. Kiedyś, już po wojnie odbywało się w wiejskim domu Zapruckich jakieś przyjęcie. Przyjechali goście, a jeden z dalekich krewnych powiedział do wujka Kazika, który jako jedyny z czterech braci przetrwał wojnę: „Dobrze Kazik, że chociaż ty nie poszedłeś na front. Jesteś całą podporą rodziny”. „Chciałem – odpowiedział - ale nie wzięli, bo byłem za młody”.

Po latach, w 2005 roku synowie mojej Babci pojechali do Nowej Myszy na terenie obecnej Białorusi i przywieźli grudkę ziemi z grobu Henryka Zapruckiego, żołnierza Armii Krajowej, naszego Wujka, nie dotarli tylko pod Lenino, by odszukać mogiłę Wawrzyńca, który tam poległ. Nie mogli też ekshumować prochów Wacława w Krośnie, gdyż nie ma tam śladu po jednym z pierwszych powojennych grobów. Postawiliśmy na cmentarzu w Starej Kamienicy, na grobie Prababci Filomeny pomnik z czarnego granitu, przywołując imiona naszych heroicznych bohaterów – Braci mojej babci.

Po powrocie z Syberii rodzina znalazła się w Bobrowicach koło Krosna, gdzie nie było jak żyć: ani pracy, ani gospodarstwa do objęcia, a rodzina była spora: Prababcia z trójką dzieci i jej zamężna córka z dwojgiem potomstwa. W obozie pod Tomskiem, też w Krasnojarskim Kraju, został pradziadek Adam. Kiedy został uwięziony przez enkawudzystów i wywożono go z Nowej Myszy konnym zaprzęgiem, wyciągnął w stronę najstarszej córki obie dłonie z rozstawionymi palcami. Wskazywał, że straci go z oczu na 10 długich lat.

Szwagier mojej Babci, służący w wojsku od zakończenia wojny w Warszawie, znając starostę jeleniogórskiego Wojciecha Tabakę, poszukiwał dla żony, dzieci i Sybiraków obszerny dom w Małej Kamienicy pod numerem

77. Dojechali tam ze skromnymi węzłkami jakimś zdezelowanym samochodem ciężarowym, mijając piękne domy i ogrody zachodniej ściany Polski w nowych granicach. Do Małej Kamienicy, która wówczas nazywała się Kępnicą, nie można było dojechać ani pociągiem, ani autobusem, więc Szwagier o biegunowo różnej od rodziny Żony orientacji politycznej mógł mieć pewność, że trudno będzie tutaj wytropić jego nieprawomyślną rodzinę. Ulokował wszystkich w obszernym, podpiwniczonym, piętrowym domu mieszkalnym z częścią dla inwentarza, stojącym w czworoboku zabudowań naprzeciwko stodoły, a obok chlewni z poddaszem na siano, częścią garażową na maszyny i łukowatym wjazdem na teren posesji. Witła ich niemiecka rodzina, do której Prababcia nakazywała nam się zwracać przyjaźnie mimo niedawnych okupacyjnych doświadczeń Polaków. Na areale, należącym do tych zabudowań, pracowali wspólnie i domownicy, i Niemcy. Prababcia nauczyła się od nich robić syrop buraczany i przygotowywać zaprawy w słoikach wecka, których na kresach chyba nie było, gdyż znano tylko suszenie owoców i jagód, smażenie konfitur i solenie grzybów. Pokoje i kuchnia były umeblowane w szafy, stoły, kredensy, krzesła i kanapy. Był też patefon i płyty. Moja Babcia i wujek Kazik zaliczali się już do młodzieży, rychło więc zaczęli poznawać rówieśników i zapraszać się wzajemnie. W domu rozbrzmiewała z płyt muzyka Straussów, Lehara i innych kompozytorów. Kolekcja płyt została po Niemcach, ich niedawną obecność przypominały zdjęcia, widokówki, modlitewniki wydrukowane szwabrycą i straszne broszury instruktażowe dla żołnierzy o zastosowaniu napalmu. Jeden obrazek przedstawiał faszystowskich żołnierzy, kierujących na domy ogniste pociski. Tak więc latem 1946 roku Zaprucy stali się sąsiadami osiedleńców spod Sambora i Stanisławowa, z Nowej Wilejki na Wileńszczyźnie, z centralnej Polski, a rychło też byłych mieszkańców Polesia, którzy trafili tutaj wprost z zesłania do Kazachstanu. Już działał sklep, dzieci zapisano do szkoły w Starej Kamienicy, gdzie też znajdował się kościół parafialny i siedziba władz gminnych, a potem – gromadzkich.

Szkoła znajdowała się w centrum wsi, a nauka w niej odbywała się na dwie zmiany. Nie było splukiwanych toalet, tylko szalety na wprost budynku z salami lekcyjnymi. Tutaj uczyły się dzieci o wielkiej rozpiętości wieku. Na początku wszyscy gnieździli się w jednej sali, potem rozdzielono uczniów

na grupę starszą i młodszą, a w końcu utworzono klasy od I do VII, starsze dzieci awansem przesuwać do wyższych oddziałów. Podobno, kiedy zaistniała taka możliwość, niektórzy rodzice szybko preparowali świadectwa urodzenia, dokładając dzieciom tyle lat, ile wymagano do przesunięcia do wyższej klasy. Do szkoły piechotą chodzili uczniowie z Kępnicy, Kwieciszowic, obecnej Nowej Kamienicy, Ludwikowic (dziś Chromiec), Zalesia (dziś Kopaniec) i Korczakowa (dziś Barcinek).

Okazało się, że i w Kępnicy jest szkoła. Był to zgrabny budynek mieszczący piękną, obszerną salę lekcyjną z ławkami i pulpitemi, mały holik z wieszaczkami i kranami wzdłuż ścian oraz przylegający do klasy magazynek z mapami, wykresami i kolekcją minerałów w gablotach. Drugie drzwi tego budynku prowadziły do nauczycielskiego mieszkania. Już po wakacjach zajęła go Maria Poczynek, nauczycielka z wielkiego powołania. Uczyła dzieci w klasach łączonych, a nie wiem, jakim cudem, ale utrzymywała absolutną dyscyplinę bez żadnych ostrych środków wychowawczych. Uczyła wierszy, tańców ludowych, prowadziła na wycieczki, organizowała w sali ludowej spektakle i akademie. Od piątej klasy dzieci chodziły znów do Starej Kamienicy. Filarami szkoły byli kierownik, matematyk Żyła, nauczyciel od wszystkiego pan Wasilewski, prowadzący też chór i pani Maria Gibłówna – polonistka. Ta surowa i wymagająca nauczycielka języka polskiego przekazała swoim podopiecznym maksimum wiedzy, zwłaszcza z gramatyki. Po wielu latach dowiedziałem się, że w starokamienickiej szkole uczył się Karol May.

Zimy wówczas były śnieżne i mroźne. W kilku miejscach drogę przez wieś przegradzały wielkie zaspy. Wówczas sołtys organizował szarwark. Według listy wpisanej do zeszytu kolejno mieszkańcy wychodzili z łopatami, by przekopać trasę przejścia i przejazdu. W czasie Bożego Narodzenia po wsi krążyły grupy kolędników dużych i małych, ugaszczanych w domach kiełbasą, bigosem, a przede wszystkim ciastami i jabłkami. W rodzinnym domu mojej Babci wypiekało się ciasta według przedwojennych przepisów przed wigilią w takiej ilości, że wystarczały do Trzech Króli.

Nie wiem, jakim cudem krewni, powinowaci i znajomi z Kresów odnajdywali adres Zapruckich, ale zjawiali się nieoczekiwanie, serwowano im poczęstunek i moszczono łóżka w pokoju gościnnym,stawiano patefon

i wszyscy ruszali do tańca. Ustawiali się też do zdjęcia, które Wujek Kazik robił poniemieckim aparatem „przy magnezji”, czyli błysku spalającego się białego preparatu. Zanim ten błysk nastąpił, Wujek zdążył dobiec do upozowanej grupy i znaleźć się w kadrze. Bywało, że wszyscy wyruszali na zabawę ludową w sali w Kamienicy lub Kępnicy. Zabawy zapowiadały plakaty niezmiennie tej treści „Bufet obficie zaopatrzone, orkiestra doborowa”. Bufet był obficie zaopatrzone przede wszystkim w gorzałkę, śledzie i kanapki z ogórkiem kwaszonym i kiełbasą. W emocjonującym momencie ogłaszany był walczyk kotylionowy albo czekoladowy. Niekiedy nadmiar emocji lub czysta zawiść wyzwał ostre konflikty, które znajdowały ujście w potężnej bijatyce.

Od czasu do czasu we wsi zwoływano zebrania, na które przyjeżdżali agitatorzy z powiatu i próbowali nieskutecznie laicyzować wieś, wybijając ludziom z głowy Pana Boga i dowodząc, że człowiek pochodzi od małpy. Ludzie słuchali chętnie i robili swoje, to znaczy w niedzielę zaprzęgali konie do bryczek i jechali do Kamienicy na niedzielne nabożeństwo. Przy kościele pojawiły się pierwsze powojenne groby. W jednym z nich spoczęło ciało jedynego komunisty z naszej wsi. Zmogła go jakaś gwałtowna choroba, a nad grobem zmarłego nie ustawiono krzyża, co niektórych dziwiło, a niektórych niewiele obeszło. Czasami we wsi zjawiali się ludzie wynędzniali i załęknieni, a sołtys przydzielał im kwatery w domach gospodarzy. Przyjmowano ich ze strachem, docierało do ludzi, że to powstańcy z Warszawy, że ściga ich UB. Prababcia często opatrywała im zranienia. Miała swoje, przywiezione z Syberii sposoby, jakby się dziś powiedziało, z medycyny niekonwencjonalnej. Rany okładała liśćmi babki, przeziębienia leczyła nacieraniami octem i niesolonym tłuszczem domowego ptactwa, na zastrzały stosowała parzenia w bardzo gorącej wodzie, a na ropiejące skaleczenia - okadzania dymem z tłącego się zwitka lnianej tkaniny. Zioła miały permanentne zastosowanie: mięta, piołun i suszone jagody na niestrawności, suszony kwiat lipy i sok z malin na przeziębienia. Nie pomogły te sposoby na cierpienia Pradziadka, który wrócił z Syberii kilka lat po wojnie ważąc niespełna pięćdziesiąt kilogramów. Jechał z Aczyńska, położonego w sercu Azji, przesiadając się wielokrotnie, trzymając w ręku kuferek z brzytwą i jakimś mizernym przyodziewkiem, a dotarłszy do Jeleniej Góry, po prostu

poszedł na targowisko, które wówczas znajdowało się przy ul. Obrońców Pokoju i obchodził konne zaprzęgi rozpytując gospodarzy, czy czasem nie ma kogoś z Kępnicy. Ludzie odpędzali nieboraka, nie wiedząc, kim jest i lękając się poufałości z nieznajomym. Wówczas przecież na Ziemi Odzyskane trafiali nie tylko repatrianci - zaburzanie, centralacy, osadnicy wojskowi i ludzie wracający z łagrów i przymusowych robót w Niemczech, ale także szabrownicy, przestępcy i inne szumowiny, którym łatwo było skryć się wśród napływowej ludności i uprawiać dalej swój proceder.

Zaczęły się donosy. Ktoś we wsi podsłuchiwał pod oknami i informował posterunek, kto słucha Wolnej Europy. Chłopcy ze starszych klas szkoły podstawowej zostali aresztowani i wywiezieni nie wiadomo dokąd, bo wpłynął donos, że powołują organizację zbrojną, podczas gdy oni po prostu bawili się w wojnę przy pomocy kijów wystruganych na kształt karabinów, a takie zabawy są przywilejem wszystkich chłopców świata, a cóż dopiero mówić o malcach, którzy pamiętali wojnę.

Potem pojawił się inny problem. Dorastająca młodzież dostawała wezwania, by stawiała się do prac społecznych ramach Służby Polsce. Niektórzy z gminy wyjechali do SP, ale tutaj na dużym gospodarstwie było co robić, więc moja Babcia i Wujek pozostawali za Prababci przyzwoleniem głusi na agitację. Skutek był taki, że zostali zabrani z domu i przetrzymywani pod zamknięciem. Prababci zamigotało grozą widma Sybiru, ale na szczęście odesłano jej dzieci do domu. Zosia i Kazik mogli znów pracować w pocie czoła na kontyngenty i przymusowe dostawy i wpłacać pieniądze na FOR. Skrót ten, jak mi wiadomo, oznaczał Fundusz Odbudowy Rolnictwa, ale do rolnictwa nic niego nie wpływało, tylko posłużył na kolejne Plany, np. Trzyletni i Sześćioletni.

Kiedyś pojawiły się na murach hasła: „Głosuj trzy razy TAK”. W tym miejscu wchodzę do Internetu, żeby przypomnieć niezorientowanym, czego dotyczyło to referendum, którego wyniki zostały sfałszowane. Oto pytania, na które obywatele mieli odpowiedzieć:

1. Czy jesteś za zniesieniem Senatu?
2. Czy chcesz utrwalenia w przyszłej konstytucji ustroju gospodarczego zaprowadzonego przez reformę rolną i unarodowienia podstawowych

gałęzi gospodarki krajowej z zachowaniem ustawowych uprawnień inicjatywy prywatnej?

3. Czy chcesz utrwalenia granic Państwa Polskiego na Bałtyku, Odrze i Nysie Łużyckiej?

Jeszcze tylko zacytuję z tego samego źródła wyniki referendum z 1946 roku: W **referendum** wzięło udział 85% uprawnionych. Według oficjalnych wyników na pierwsze pytanie „tak” odpowiedziało 68, 2% głosujących, na drugie 77,1%, a na trzecie 91,4%. Wyniki zostały sfałszowane. Jak ustalono po latach, według wewnętrznych danych PPR na 1 pytanie 26,9% odpowiedziało „tak”, 2 - 42%, 3 - 67%. Oficjalny protest wniósł Stanisław Mikołajczyk i musiał 21 października 1947 r. uciekać z kraju.

Familia mojej Babci, która przeżyła zesłanie, ze zdziwieniem witała agitatorów, odwiedzających dom po domu i rysujących wizję nowego sposobu gospodarowania. Każdy wniesie swoją ziemię, maszyny, jakie przejął po niemieckich gospodarzach, nie będzie musiał harować dzień po dniu, bo będzie system dniówkowy, jedni będą pracować, innym przyjdzie pora odpoczynku. Mówiło się też o urlopach i o darmowym leczeniu „kołchoźników”. Jedni ulegli euforii, inni pamiętali kołchozowy „bardak” w tundrze czy w Kazachstanie, głód i marnotrawstwo, a także samodzierżawie ”priedsiedatielów”, od których woli i kaprysów nie było odwołania. Jednak wieś zapisała się do spółdzielni. Nawet uczniowie w czasie wakacji musieli wychodzić w pole do plewienia straszliwie długich, zachwaszczonych bruzd buraków lub do zwożenia zboża, pomagając starszym wyrobić dniówki. Rychło okazało się, że dniówki nie są rzetelnie podliczane, tak jak w punkcie skupu Inu nie był sprawiedliwie szacowany zwieziony plon, w którym liczyła się jego czystość, długość włókna i obfitość główek z nasionami. Pod koniec lat pięćdziesiątych odbył się we Wrocławiu wielki proces pracowników takich punktów skupu Inu. Warto przypomnieć, że w pierwszym okresie plantatorzy nie otrzymywali za dostarczony len pieniędzy, tylko określoną ilość bawełnianego materiału, z którego potem kobiety szyły bluzki, spódnice i sukienki. Podobnie działało się z plantatorami buraków cukrowych, którzy dostawali w rozliczeniu cukier. Krewni z powiatu Brzeg Dolny, gdzie były dobre buraczane gleby, przysyłając na wakacje do

Małej Kamienicy dzieci, zaopatrywali je w cukier. Goście wracali z wiadrami smażonych czarnych jagód, które zbierali w naszych lasach, a usmażyli z cukrem.

Co sobotę zbierała się młodzież na tańce w poniemieckiej sali imprez, a Stefan Piasecki grał na akordeonie. Jego Mama była jedną z wojennych wdów, podobnie jak pani Rybowa czy pani Rynkiewiczowa. We wsi był tylko jeden niesakramentalny związek i tylko jedna rodzina innowierców – jehowitów. Niekiedy w stronę wsi od stacji kolejowej w Kamienicy szła kolumna ludzi. To jehowici podążali do Ludwikowic, by tam odbyć swoje zgromadzenie. Razu pewnego rodzinę z Małej Kamienicy należącą do tej wspólnoty spotkała straszna tragedia. Cała familia, mieszkająca na uboczu, uległa zaczadzeniu. Dopiero, kiedy było na uwięzi, które poobgryzało żłoby i ściany zaczęło strasznie ryczeć, ludzie rzucili się na pomoc. Niestety – wezwana milicja zastała w mieszkaniu tylko skostniałe w chłodzie, poczerniałe od czadu zwłoki. Cała wieś była głęboko poruszona tym dramatem. Dzieci ze wsi podrasstały i szły do miejskich szkół. Najmłodszą siostrę mojej Babci Lucię po podstawówce ulokowano w Ogólniaku w Mirsku, gdzie zamieszkała w internacie. Ponieważ niczym nie można tam było dojechać bez przesiadki, raz w tygodniu Wujek Kazik zawoził tam Lucię bryczką do chwili, kiedy przeniosła się do jeleniogórskiego „Ekonomu”. Tę szkołę, obok „Pedagoga” i „Mechanika”, wybierała młodzież ze wsi, bo dawała zawód i społeczny prestiż.

Rychło też „wybuchły” we wsi miłości i kolejne pary kawalkadą bryczek jechały do ślubu w Starej Kamienicy. Pierwszy orszak weselny z domu nr 77 powiózł moich Rodziców. Mój dziadek Klemens Żurawski przyjechał ze swoimi gośćmi weselnymi z Babic, czyli obecnego Dziwiszowa. Jak wspominają krewni, moja Babcia miała wielkie powodzenie, ale Pradziadek, który szczęśliwie, pięć lat wcześniej niż wyrokowano, wrócił z Syberii, życzył sobie zięcia ze swoich stron, a że Sienkiewiczze koło Łunińca, skąd Klemens pochodził, znajdowały się na Polesiu, w prostej linii przez błota i bagna o kilkadziesiąt kilometrów od Baranowicz, uznał go za najlepszego kandydata na męża córki. Klemens mieszkał blisko Jeleniej Góry, pracował w mieście, był kierowcą i bokserem, a także zagorzałym kibicem sportowym.

Zadawał szyku przyjeżdżając na motocyklu, a potem samochodem, co wówczas było absolutną rzadkością.

Oboje, Zofia i Klemens, jeszcze byli pełni wspomnień z zesłania: ona z Matką i rodzeństwem spędziła je w tundrze, w Aczyńskim Rejonie Krasnojarskiego Kraju, on z rodzicami, siostrą i bratem – w Kazachstanie. Klimek przetrwał zsyłkę i z najbliższymi znalazł się w Dziwiszowie, podczas kiedy jego brat Wacław wyruszył z Armią Andersa na frontowy szlak, by po wojnie osiąść i założyć rodzinę w Londynie. Zofia i Klemens pobrali się jako bardzo młodzi ludzie. Ona miała zaledwie 19 lat, on o trzy lata więcej. Nasz pradziadek Adam Zaprucki jeszcze zdążył uradować się weselem moich Rodziców, jeszcze powitał ich pierwszego synka i odszedł do wieczności, tam, gdzie na niego czekali Synowie – żołnierze.

Klemens, zanim został w szkole samochodowej instruktorem jazdy, był kierowcą w jeleniogórskim PKS –ie Towarowym, wyjeżdżał na długie trasy, ale dla niego najszczęśliwsze były powroty do domu. Miłość sprawiła, że rozłąka z najbliższymi nie spowodowała, żeby nadużył alkoholu czy uwikłał się lekkie związki z innymi kobietami. Kiedyś, wiele lat po ślubie, jeden jedyny raz prowadzony przez niego samochód uległ wypadkowi na krętej drodze łączącej Dziwiszów z Jelenią Górą. Oboje znaleźli się bardzo poszkodowani w szpitalu, ale stan Zofii był bardziej poważny, choć i jej Mąż bezwzględnie nie powinien był opuszczać łóżka. On jednak poszedł do sali, gdzie leżała żona i trwał przy niej, trzymając za rękę i wypatrując oznak poprawy. Teraz nasz Dziadziuś, przekroczywszy osiemdziesiąty rok życia, mając za sobą niestrudzone dziesięciolecia pracy, wymaga ze względu na stan zdrowia pomocy i nasza Babcia z nieopisaną cierpliwością jest przy nim w każdej godzinie, a my staramy się być z nimi, ilekroć czas pozwoli.

Nasi Dziadkowie doczekali się trójki potomstwa. Henryk jest najstarszy, skończył jeleniogórskie Technikum Mechaniczne, potem Akademię Górniczo – Hutniczą w Krakowie, ożenił się z Jolą Pietrzykówną, córką oficera z jeleniogórskiego garnizonu przy ul. Grunwaldzkiej, obecnie mieszkają w Nowej Rudzie. Henryk pracował w górnictwie, moja Ciocia zawód uzyskany na Politechnice zamieniła na nauczycielskie powołanie. Janusz skończył wrocławską Akademię Wychowania Fizycznego, jest

przedsiębiorcą i trenerem. Obaj byli znakomitymi sportowcami, Henryk bokserem, Janusz zapaśnikiem. Moja Mama ukończyła prawo, wyszła za mąż za Zbyszka Jaskólskiego, syna dyrektora jeleniogórskiej „Polfy”. Prowadzi Biuro Notarialne w Bogatyni. Nasi Dziadkowie doczekali się wnuków: Wojciecha i Magdaleny (dzieci Henryka), Michała i Piotra (dzieci Janusza) oraz Agaty i mnie, Mateusza (dzieci Łucji). Pojawiło się i czwarte pokolenie – prawnuczęta, których doczekali się od Henryka i Janusza. Nasi Dziadkowie przekazali nam wiarę, zdolność do otaczania troską najbliższych, zdolność do poświęcenia, pracowitość i ambicję, która nie pozwala poprzestawać na minimum. Nie szczędzili sił, by dać nam wykształcenie. Spędzając wakacje i dorastając na wsi, pomagaliśmy w gospodarstwie i uczyliśmy się wytrwale. Praca i sport hartowały naszą siłę woli. Jeden wujek - Henryk był nawet laureatem dolnośląskiej nagrody Fair Play, a długi - Janusz występował w polskiej reprezentacji na międzynarodowych turniejach. Są w naszej rodzinie medycy, inżynierowie, pedagodzy, sportowcy i trenerzy, prawnicy, przedsiębiorcy, a nawet aktorzy (Michał Żurawski aktualnie gra jedną z głównych ról w serialu „Ludzie Chudego” a jego brat Piotr, w tym sezonie artystycznym jest związany z bydgoską sceną, w serialu „Czas honoru”).

Doświadczenie uczy, że cała miłość i całe dobro, które świadczymy najbliższym, albo i dalekim osobom, wraca pomnożone. Nasi Dziadkowie mieszkają w jednym z najbardziej zadbanych domów. Postaraliśmy się, by dla ich wygody były tam wszystkie urządzenia, które ułatwiają życie, urządziliśmy na piętrze taras, by Ojciec, siedząc na wózku inwalidzkim, mógł cieszyć się blaskiem słońca i świeżym powietrzem.

Miłość i troska naszych Dziadków nie była adresowana tylko do dzieci i wnuków. Po przeciwległej stronie ruchliwej drogi mieszkała rodzina Fursewiczów, czyli Siostry naszego Dziadka - Anny i jej Męża Wincentego, który przemierzył szlak bojowy od Lenino do Berlina. Państwo Fursewiczowie doczekali się siedmiorga dzieci, z których troje za nimi odeszło już do wieczności, ale ich dzieci i wnuki serdecznym kręgiem otaczały na uroczystości Jubilatów, którzy w swoim czasie na wszystkie możliwe sposoby wspierali wielodzietną rodzinę. Przy nich też dopełnili życia sędziwi Rodzice Klemensa oraz Helena Legun, którą wspominałam wcześniej (tercjarka,

katechetka na terenie radzieckiej Białorusi przez prawie cztery powojenne dziesięciolecia), a która zasługuje na powieść biograficzną.

Żeby zapewnić wychowanie i wykształcenie trójce dzieci, a także pamiętać, by dobry zwód zdobyli też siostrzeńcy, trzeba było nieustannego wysiłku. Dziadek był kierowcą, potem, jak wspomniano, instruktorem jazdy w szkole samochodowej, ale każdą wolną godzinę poświęcał na zajęcia w obejściu. Babcia pracowała z Dziadkami Żurawskimi na gospodarstwie. Można powiedzieć, że rolnictwo było jej powołaniem, a już jako żona i matka nadrobiła to, co zabrał jej Sybir –ukończyła szkołę rolniczą. Żurawscy, jak i pozostali rolnicy we wsi, gospodarowali na trudnym, górzystym terenie. Dzieci po szkole hartowały swoją wolę i dyscyplinę o boku rodziców przy sianokosach, żniwach i wykopkach. Nawet wtedy, kiedy gospodarstwo zostało zdane na Skarb Państwa w zamian za świadczenie emerytalne, nasza Babcia uprawiała ogród warzywny, robiła przetwory z owoców w sadzie, hodowała drób, a nawet zapewniała świeży nabiał i jego przetwory od własnej krowki. Teraz godnie odpoczywa po pracowitym życiu.

Jubileuszowe gody były bardzo radosne: toast szampanem przed domem przy radosnych dźwiękach orkiestry, na dole stół szwedzki z wielką ilością wędlin, smalcem w glinianych sagankach i rzędem bochnów chleba, wypieczonych przez Małgosię Zaprucką w rodzinnym domu Jubilatki w Małej Kamienicy, gdzie teraz ona kontynuuje tradycje rodu. Na piętrze goście rozdzielili się w dwóch okazałych pokojach na seniorów, którym dotrzymał towarzystwa na honorowym miejscu ks. proboszcz Krzysztof Słotwiński i młodzież, okupującą salon z wyjściem na taras. Wszyscy pałaszowali pieczone prosiaki faszerowane kaszą gryczaną, indyki z jabłkami i pomniejszy drób, a także faszerowane pieczarki na cykorii. Potem przyszła pora na dzielenie tortu w kształcie wielkiej księgi z napisem „Ku czci Jubilatów” i z ich kolorowymi fotografiami oraz na degustację ciast, deserów i owoców.

Jestem dumny, że pochodzę z połączonych rodów Zapruckich i Żurawskich, bo jak doczekam - moje dzieci oraz wnuki będą miały od kogo uczyć się tego, co stanowi sztukę życia. Składa się na nią pracowitość, odpowiedzialność, prawość, poświęcenie i wiara, a także umiejętność radowania się tym, co niesie życie.